Nr. 34. Sobota, 19-go sierpnia 1911. Rok XI

Gość Świąteczny.

Bezpłatny dodatek.

Na niedzielę jedenastą po Zielonych Świątkach.

LEKCYA

z pierwszego listu św. Pawła do Koryntyan, rozdział XV, wiersz 1—10.

Bracia! oznajmuję wam Ewangelią, którą wam opowiedziałem, którąście też przyjęli i w której stoicie. Przez którą też zbawienia dostępujecie; jeśli pamiętacie, jakim obyczajem przepowiedziałem wam, chybabyście próżno uwierzyli. Bo najprzód podałem wam, com też wziął, iż Chrystus umarł za grzechy nasze podług pisma: a iż pogrzebiony jest, iż też powstał z martwych trzeciego dnia według pisma. A iż widziany jest od Cephy, a potem od jedenastu. Potem widziany był od więcej niż od pięciu set braci wspólem, z których wielu ich trwa aż dotąd, a niektórzy zasnęli. Potem był widziany od Jakóba, potem od wszystkich Apostołów, a na koniec po wszystkich był widziany i odemnie jakoby od poronionego płodu. Bom ja jest najmniejszy między Apostoły, który nie jestem godzien, aby mnie zwano Apostołem, albowiem prześladowałem Kościół Boży. A z łaski Bożej jestem to, com jest, a łaska Jego we mnie daremną nie była.

EWANGELIA

u św. Marka rozdział VII, wiersz 31—37.

Onego czasu wyszedłszy Jezus z granic Tyryjskich, przyszedł przez Sydon do morza Galilejskiego, przez pośrodek granic Dekapolskich. I przywiedli Mu głuchego i niemego, a prosili Go, aby nań rękę włożył. A odwiódłszy go na stronę od rzeszy, wpuścił palce w uszy jego: a splunąwszy dotknął języka jego. A spojrzawszy w niebo, westchnął, i rzekł mu: Effeta, to jest, otwórz się. I wnet się otworzyły uszy jego, i rozwiązała się związka języka jego, i wymawiał dobrze. I przykazał im, aby nikomu nie powiadali. Ale, im On więcej im zakazywał, tem więcej rozsławiali, i tem bardziej się dziwowali, mówiąc: Dobrze wszystko uczynił, i głuche uczynił, że słyszą, i nieme, że mówią.

NAUKA.

Najmilsi! Miłosierdzie i dobroć Pana Jezusa, z jaką się zajął owym głuchoniemym człowiekiem, lecząc go z jego kalectwa, w zdumienie wprawiła obecnych. Nie mogli ukryć w sercu swojem uznania i uczucia wdzięczności, lecz choć Zbawiciel gardząc próżną chwałą, przykazał im wyraźnie, aby o tem, co zaszło, nie powiadali nikomu, oni, „im więcej zakazował, tem daleko więcej", jak opowiada Ewangelia św., „rozsławiali i tem bardziej się dziwowali, mówiąc: Dobrze wszystko uczynił, i głuche uczynił, że słyszą i nieme, że mówią" (Mar. VII, 36, 37.)

Podobny okrzyk uwielbienia dobywać się powinien i z ust naszych codziennie, ilekroć na ten świat spoglądamy i podziwiamy liczne cuda łaski i dobroci Bożej. „Dobrze wszystko uczynił", tak i my powtarzać często winniśmy i nad tem się zastanowimy, jak licznemi dobrodziejstwami Pan Bóg nas obsypał. Nie uwielbienie jednak, lecz w większej części niewdzięczność On za to od nas odbiera, a pierwszym aktem tej niewdzięczności to było owo nieposłuszeństwo pierwszych naszych rodziców w raju, o którem też z kolei w dzisiejszej nauce opowiem.

Ubogaconych darami przyrodzonymi i nadprzyrodzonymi osadził Pan Bóg pierwszych ludzi w raju rozkoszy. Obsypani chwałą i zaszczytami, mało co umniejszeni od samych Aniołów, używali w raju wszystkiego, co tylko istoty rozumne zadowolić może. Ponad nimi Ojciec niebieski przypatrujący się im z miłością niewysłowioną, dokoła nich świat cały ich poddany rozkazom, przed nimi życie na ziemi pełne rozkoszy i szczęśliwość wieczna pełna niewysłowionych uciech w niebie. Mieli pod dostatkiem pokarmu, żeby nie łaknęli, napoju, żeby nie pragnęli, mieli drzewo żywota, żeby ich starość nie przygniatała. Nie było zepsucia żadnego na ciele, z wewnątrz nie groziła choroba, z zewnątrz żadne cierpienie. Praca nie nużyła, sen nie morzył, wszystko lekkie i łatwe, uciechy i przyjemności nasręczały się same.

Nie chciał jednak Pan Bóg, aby im nic nie brakowało do szczęśliwości zupełnej. Byłaby zaś w istocie taką, gdyby nie mieli sposobności okazać się choć w części godnymi tej łaskawości Bożej. Poddał ich tedy Bóg próbie, dając im do spełnienia jedno przykazanie. Jak opowiada bowiem pierwsza księga Pisma św., rzekł Pan Bóg do człowieka w raju: „Z każdego drzewa rajskiego jedz, ale z drzewa wiadomości dobrego i złego nie jedz, bo którego dnia będziesz jadł z niego, śmiercią umrzesz" (Rodz. II, 16, 17.) Zachowaniem tego przykazania mieli pierwsi rodzice i sobie i nam wszystkim utrwalić szczęście na wieki. Niestety! od dawna już zazdrosnem okiem patrzył na nich szatan. Występny ten duch sam pozbawiony uciech niebieskich zapragnął teraz wydrzeć to szczęście wieczne ludziom. Do spełnienia tego zamiaru wąż wydał się mu być najdogodniejszym. Przybrawszy tedy jego postać na siebie, kiedy Ewa znajdowała się w pobliżu drzewa zakazanego, w te do niej odezwał się słowa: „Czemu wam Bóg przykazał, żebyście nie jedli z każdego drzewa rajskiego?" (Rodz. III, 1.) Ewa daleko lepszym obdarzona rozumem, niż my go teraz po jej upadku mamy, wiedziała dobrze, że wąż nie może mówić, że więc musi to być duch jakiś, który się tylko osłonił węża postacią, a duch przewrotny, zły, skoro

postaci zwierzęcia użył. Lecz zamiast się w tej chwili z przerażeniem odwrócić, ona z nim weszła w rozmowę i odpowiedziała zwodzicielowi niebacznie: „Z owocu drzew, które są w raju, pożywamy, ale z owocu drzewa, które jest w pośród raju, rozkazał nam Bóg, abyśmy nie jedli i nie dotykali się go, byśmy snać nie pomarli” (Rodz. III, 2, 3.)

Ten początek rozmowy pomyślny skutek już zapowiadał dla kusiciela. Widział on w odpowiedzi niewiasty zachwianą wiarę w prawdziwość tego, czem Bóg zagroził. Gdy bowiem Pan Bóg stanowczo zapowiedział: „śmiercią umrzecie”, to ona mówi: „Byśmy snać nie pomarli”. Śmiało więc teraz wbrew wyraźnemu słowu Bożemu ten duch kłamstwa odważył się powiedzieć: „Żadną miarą nie umrzecie śmiercią” (Rodz. III, 4.) Co więcej, zuchwałość swoją aż do tego posunął stopnia, iż zakaz Boży nikczemnej zazdrości śmiał przypisywać, mówiąc do Ewy: „Wie Bóg, iż któregokolwiek dnia będziecie jeść z niego, otworzą się oczy wasze i będziecie jako bogowie, wiedząc dobre i złe” (Rodz. III, 5). Nie ufał naturze ludzkiej, która przed pierwszym upadkiem będąc doskonalszą niż teraz, nie tak łatwo dałaby się skłonić do odwrócenia się od Boga. Nie kusi zatem ani czarującą pięknością owocu zakazanego, ani jego wybornym smakiem, ale tę samą stawia przed Ewą pokusę, która jego przyprawiła o zgubę. Jak on postawił swoje „ja” na miejscu Boga i zginął, tak mówi i do Ewy: „Będziecie jako bogowie”.

Zaślepiona tą obietnicą Ewa dała się uwieść, uwierzyła szatanowi na prawdę i uniesiona pychą, ściągnęła rękę ku owocowi zakazanemu, wzięła i jadła, skuszona zaś sama, staje się kusicielką swojego męża, bo jak powiada Pismo św.: „dała mężowi swemu, który jadł” (Rodz. III, 6).

W ten to sposób popełniony został pierwszy grzech na ziemi, który stał się początkiem tylu innych grzechów, jakimi odtąd ludzie obrażają Boga. Tak to odpłacili się Panu Bogu już pierwsi nasi rodzice za tę miłość, jaką ich ukochał. Taką to złość w zamian za Jego dobroć oddali. Pomyślmy bowiem tylko i zastanówmy się nad tem, co odebrali z rąk swego wszechmocnego Stwórcy. Stworzył ich na obraz i podobieństwo Swoje, wyniósł ponad wszystkie stworzenia ziemi, dał rozum, aby Go poznawali, serce, aby Go miłowali, dał wolną wolę, aby Mu nie jakby niewolnicy jacyś, ale jak dzieci ochotnie służyli. Uczynił ich szczęśliwymi już tu na ziemi, i w nagrodę za wierną służbę wieczną szczęśliwość obiecał. Jednego tylko żądał, spełnienia tylko jednego przykazania się od nich domagał, a przykazania nader do zachowania łatwego. Ileż to bowiem drzew rodzących najpiękniejsze owoce mieli pozostawionych do dowolnego użytku! Jakże było im łatwo zwyciężyć pokusę! Wszakże ich serce było jeszcze niewinne, zła żądza była im całkiem nieznaną. Wola ich skłaniała się jedynie ku temu, co dobre, co szlachetne. A jednak nie wierzą Panu Bogu, wątpią o prawdziwości wyrzeczonych słów Jego, nie lękają się zagrożonej kary, Bogu samemu chcą się stać równymi. O ileż złości kryje się w tem jednem przestępstwie! Słusznie zastanawiając się nad grzechem pierwszych naszych rodziców, św. Augustyn powiada: „Jest w nim pycha, bo człowiek nie chciał uznać Pana nad sobą, a chciał sam sobie być panem; jest niedowiarstwo, bo człowiek nie wierzył Bogu; jest zabójstwo, bo człowiek zabił siebie samego; jest kradzież, bo pożywał owocu zakazanego; jest łakomstwo, bo pragnął więcej, aniżeli posiadał”.

Lecz gdyby to na tym jednym upadku pierwszych naszych rodziców już się były skończyły grzechy, a z nimi złość i niewdzięczność człowieka względem Pana Boga. Niestety! nieodrodnemi jesteśmy dziećmi Adama i Ewy. Ileż to grzechów popełniamy codziennie, ileż to razy przestępujemy przykazania Boże, a przecież i nas ukochał Pan Bóg i my z ręki Jego niezliczone dobrodziejstwa otrzymujemy. Prawda, nie jest ta ziemia już więcej rajem rozkoszy, ale padołem płaczu, nie jest to życie nasze wolne od różnych trosk i kłopotów, jak było życie pierwszych rodziców, czyż jednak i to już nie jest łaską wielką, że my dotąd żyjemy? Czyż i dzisiaj nie otacza nas Pan Bóg jak najtroskliwszą opieką? Prawda, rozum nasz jest przyćmiony, lecz Bóg nie skąpi potrzebnego światła dla odróżnienia dobrego od złego. Prawda, wola nasza osłabła, ale brak nam jednak łaski, która ją dostatecznie wzmocnić potrafi. Mimo słabości i ułomności naszej ludzkiej natury przykazania, które nam Pan Bóg daje, nie są niemożebne do zachowania, nie przechodzą bynajmniej sił naszych. Powiedział bowiem Pan Bóg jeszcze w Starym Zakonie: „Rozkazanie to, które ja dziś przykazuję tobie, nie jest ci nad tobą, ani daleko odległe, ani położone na niebie, żebyś mógł mówić: Któż z nas może wstąpić do nieba” (Deut. XXX, 11). Owszem, Pan Jezus zapewnia: „Jarzmo moje wdzięczne jest, a brzemię moje lekkie” (Mat. XI, 30). Umiłujmyż je ponad wszystko i przestrzegajmy ich wiernie. Podyktowała je miłość Boża i za ich zachowanie wieczną gotuje nagrodę, więc niech nam będą święte. Żadna pokusa niech nas nie zdoła do przestąpienia któregokolwiek przykazania Boskiego lub kościelnego skłonić. Niechaj nam obiecuje szatan skarby całego świata, my gardźmy nimi. Pouczeni smutnym przykładem Ewy, lękajmy się obietnic jego. Niechaj się do nas cały świat przymila ułudnemi słowami, nie chodźmy śladem Adama, który zawierzył pochlebnym słówkom Ewy. Dosyć już grzechów, dosyć już złości ludzkiej i niewdzięczności względem Pana Boga. Umiłowani od Niego ponad wszystkie stworzenia, ponad wszystkie Go też kochajmy, ponad wszystkie jak najlepiej Mu służmy, byśmy utraciwszy z winy naszych pierwszych rodziców raj ziemski, z własnej nie utracili wiecznego. Amen.

Ks. Fr. Miklasiński.

Apostoł trzeźwości.

(Dokończenie.)

Gorące prośby i namowy Martina zniewoliły w końcu O. Teobalda. Zaczął on badać kwestyę pijaństwa, a im lepiej ją poznawał, tem przerażał się więcej. Okazało się, że w jednej tylko Irlandyi, maleńkim zrujnowanym kraiku, przepijano corocznie dziesiątki milionów pieniędzy. Ojciec Metieu wyrachował, że gdyby Irlandczycy przestali pić, to za pięć lat kraj zmieniłby się do niepoznania. Stałaby się cudowna zmiana: chuda, brudna i grubiańska staruszka zmieniłaby się w młodą, zdrową uczoną piękność. Ubogie chaty zmieniłyby się na ładne domy, zdrobniałe bydełko zniknęłoby bez śladu, a miejsce jego zajęłyby ładne mocne konie, silne, duże woły i piękne, mleczne krowy. Słabi ludzie staliby się bez porównania zdrowszymi, gdyż posiadaliby więcej pieniędzy na o-

dzież i jedzenie. Każda wioska mogłaby mieć szkołę. Daleko mniej byłoby występków i chorób rozmaitych.

— Tak, ale na nieszczęście wszystko to mogłoby być — mówił O. Metieu — dotąd niema jednak nic podobnego. Smutne to jest, okropne, zbrodnicze nakoniec. Tak dalej być nie może. Ktoś musi zacząć walkę z tem strasznem złem.

W kwietniu 1838 roku posłał O. Teobald do Wiliama Martina list, w którym mu donosił, że zakłada Towarzystwo trzeźwości i zwołuje pierwsze zgromadzenie.

Kiedy w mieście Cork rozeszła się wieść, że Ojciec Teoblad wziął się do tej pracy, wielu śmiać się zaczęło.

— Nic z tego nie będzie, to przegrana sprawa. Czyż zresztą wielka zbrodnia, jeżeli człowiek wypije sobie troszeczkę? Niema D. Teobald pewnie o czem myśleć. Zachciało mu się nowej popularności!

Ojciec Teobald i Wiliam Martin słuchali tego wszystkiego, wiedząc dobrze, że ludzie zwykli niechętnie nowe sprawy przyjmować. Mówili więc sobie:

— To wszystko jeszcze nic, gorzej potem powstawać na nas będą. Trzeba być przygotowanym.

Pierwszy wiec Towarzystwa trzeźwości nie był ludnym, ale nie zrażał się O. Teobald.

— Najważniejszem jest, żeby ludzie, którzy zapiszą się do związku naszego, byli mocnego ducha. Łyżka drożdży podnosi centnary ciasta. Jedna iskra roznieca wielki ogień. Ta mała garstka pociągnie za sobą wielu innych.

Sprawdziły się słowa O. Teobalda. Nowe towarzystwo zaczęło się rozrastać. W ciągu trzech miesięcy towarzystwo O. Teobalda liczyło już pięć tysięcy członków, a w ciągu pół roku sto trzydzieści jeden tysięcy. Po pięciu zaś latach liczba uczestników związku trzeźwości w Irlandyi pod przewodnictwem O. Teobalda doszła do dwóch milionów. Nie wszyscy, co prawda, dotrzymali danego słowa, ale O. Metieu nie zrażał się tem.

— Jeżeli z pośród dwóch milionów członków Towarzystwa trzeźwości tylko dwustu, a nawet dwadzieścia tysięcy byli pijakami i żeby wytrwali tylko w przeciągu tygodnia, to kraj zyska dwadzieścia tysięcy tygodni trzeźwego życia ludzi, którzy tego czasu będą mogli używać na pracę, dwadzieścia tysięcy rodzin będą miały spokój od tego piekła, które zwykle panuje w domach pijaków. Jeden oszczędzony litr wódki stanowi oszczędzony pieniądz, pozwalający nieszczęśliwej rodzinie pijaka najeść się do sytości.

Ojciec Teobald nie spoczywał chwili: pisał dzieła i broszury o trzeźwości, wygłaszał kazania i mowy. Każdego, kogo spotkał, zapraszał do swego towarzystwa.

— Doprawdy — mówił on zwykle — zły to zwyczaj, picie kieliszeczka. A wstydem jest, żeby mądry człowiek nie mógł zaniechać tego zwyczaju. Okaż się człowiekiem, który ma charakter. Powiedz: „nie piję odtąd i basta".

W święta O. Teobald chodził po targu, wszczynał długie rozmowy z włościanami, którzy przyjeżdżali do miasta i prosił wszystkich o zaniechanie pijaństwa.

— Z czemeście przyjechali, drodzy przyjaciele? — pytał O. Metieu. Jeden mówił, że przywiózł na sprzedaż masło, inny zboże, trzeci krowę przyprowadził, tamten znów konia. — Cóż to, macie zbytek w domu? Nie potrzebne to wam!

— Jak to niepotrzebne — odpowiadano zwykle. — Odmawiamy sobie wszystkiego. Dzieci płakały, jak wyprowadzano krówkę. Wyrosła ona u nas. Z dziat kami w zimie na podłodze spała. Gdyby nie bieda, za nic na targ nie prowadzilibyśmy.

— A cóż za te pieniądze kupować będziecie? pytał dalej O. Teobald.

— Cóż tam kupować? Teraz ciężkie czasy. Każdy grosz drogi jest. Podatki płacić trzeba. Sprzedamy, wypijemy na drogę i pojedziemy do domu.

O. Teobald czekał tylko na takie powiedzenie.

— Mówicie: „wypijemy?" W domu dzieci płacząc kochaną krówkę odprowadzały, trudno przeżałować rodzinę, a wy tu pić będziecie?

Chłopi stawali ze spuszczonemi głowami. Słowa O. Metieu płynęły jak potok ognisty. Tłum słuchał z natężoną uwagą. Twarzy zamyślały się. Wielu wzdychało głęboko.

— Nic pić nie będziemy, na zawsze zaniechamy picia, niech będzie przeklęta wódka! I niech się wstydzi ten, kto jak dawniej zamieni pot i łzy bliskich swoich na kieliszek z krwią szatana.

Ludzie setkami zapisywali się do księgi trzeźwości. Ruch ten ogarniał kraj cały.

Dziwnym zbiegiem okoliczności jednocześnie O. Teobald oddał duszę całą sprawie trzeźwości ludu, a bracia jego i krewni palili wódkę. Oni się bardzo gniewali na O. Teobalda:

— Ty szkodzisz pracą swoją nam, twoim najbliższym — mówili.

Ojciec Teobald odpowiedział słowami Chrystusa:

— Jeżeli kto kocha żonę, ojca, albo brata więcej niż Mnie, nie jest Mnie godzien." Nie godzi się rodziny kochać więcej niż sprawę Bożą.

Innym razem O. Teobaldowi mówiono o skargach całego towarzystwa gorzelników:

— Za co on nas rujnuje? Straciliśmy wielkie sumy na gorzelnie nasze, a on robi nam podryw.

Na to O. Metieu odpowiadał bajeczką:

— Poleciała raniutko kaczka po robaki. Najadła się do sytości. Napełniwszy wole, wraca do domu i ledwie może się ruszać. Nagle wypada lis z za krzaka. Schwycił kaczkę za kark i pociągnął do lasu. Kaczka była oburzona.

— Co robisz — mówiła. — Czyż cię nie wstyd? Chcesz mnie zgubić! Idę sobie spokojnie swoją drogą, a ty mnie za kark chwytasz?

— Pani — odpowiedział lisek — przybliżając kaczkę do kałuży. Proszę spojrzeć w to lustro na siebie. Czemu to pani ma tak rozdęte wole? Czyż nie jest ono napełnione robakami? Jeżeli ja pożrę panią, to biedne robaczki błogosławić mnie będą.

— Niech gorzelnicy zamiast gorzelni budują młyny, albo fabryki sukna. Nie przegrają na tem, a lud, kraj cały wygra, ludzie będą jeść lepiej, lepiej się ubierać.

Bieg życia w kraju zaczął się zmieniać rzeczywiście. Dawniej corocznie wykonywano około 60 wyroków śmierci, po wypowiedzeniu wojny przez Ojca Metieu pijaństwu liczba wyroków zmniejszyła się do trzynastu.

W 1839 roku było wysłanych do ciężkich robót w Irlandyi 916 ludzi, a 1845 roku tylko 48. W 1839 r. we wszystkich więzieniach kraju było 12 049 więźniów a w 1845 roku wiele więzień trzeba było zamknąć, urządzić z nich szkoły, ochrony i przytułki noclegowe, gdyż liczba więźniów o połowę się zmniejszyła. A wszystko to się stało wskutek [illegible]szenia się pijaństwa.

W 18[illegible] roku w całym kraju wypiło około czterdziestu milionów litrów wódki, a w 1845 roku równo o połowę mniej. Akcyza od wódki z czternastu i pół milionów reńskich spadła na ośm i pół milionów. Skarb państwa nic jednak na tem nie stracił. Dochód ze sprzedaży wódki zmniejszył się wprawdzie, ale zwiększyły się podatki od cukru, herbaty, materyi rozmaitych. Handlarze suknem i materyałami wełnianymi w uboższych dzielnicach miast mówili, że od czasu założenia Towarzystwa trzeźwości handel ich lepiej idzie, obroty roczne wzrosły bardzo znacznie.

— Karczma rozbierała nas — mówiono wśród ludu — a O. Teobald nas ubiera.

Zapraszano O. Metieu do rozmaitych miejsc daleko od Corku. Jeździł on do Ameryki, Londynu, o Australii nawet. Wszędzie znajdował mnóstwo roboty. W Anglii pił nietylko lud prosty. Pili kupcy, studenci, lordowie, członkowie parlamentu. Ojciec Teobald zwracał się do studentów:

— Przyjaciele moi — mówił — macie skarb wielki: młodość. Jakże obchodzicie się z tym skarbem? Żeby żyć dobrze, potrzebnym jest umysł trzeźwy i silny, a wy zatruwacie go alkoholem.

— Czyż tak już wielka zbrodnia, jeżeli kto wypije szklankę piwa, lub kwaterkę wódki? — odpowiadano nieraz.

— A któż zaręczyć może — pytał O. Teobald — że nie upije się ani razu, że z człowieka, który jest stworzeniem rozumnem, nie stanie się bydlęciem. Lepiej nie ryzykować, najdrożsi moi.

Przekonywające słowa O. Metieu jednały mu zwolenników, setki tysięcy nowych członków zapisywało się do związku.

Kiedy O. Teoblad zwiedzał katedrę w Londynie, pewien Anglik był oburzony, widząc, że katolicki ksiądz błogosławi tłumy ludzi, należących do anglikańskiego kościoła.

— To hańba — oburzał się on głośno.

— A żeby pan wiedział, ile setek tysięcy Anglików błogosławi tego katolickiego księdza — odpowiedział ktoś z tłumu.

Kiedy w 1846 roku O. Metieu wrócił do ojczyzny, czekały go nowe ciężkie trudy. W Irlandyi był straszny głód. Dwa lata nie rodziło się nic zupełnie. Naród wpadł w rozpacz. Ludzie błądzili, jak cienie, żywili się liśćmi kapusty i korzonkami. O. Teobald pomagał ile mógł. Rozdał wszystko, co miał. A bieda wzmagała się ciągle. O. Teobald zwrócił się o pomoc do społeczeństwa i zaczęto mu szczodrze nadsyłać ofiary. W ciągu dwóch lat przez jego ręce przeszło prawie 60 milionów gwinei. Pomógł wiele biedzie wielkiej, ale został sam zupełnie bez środków i zaciągnął wielkie długi. Królowa angielska, dowiedziawszy się o tem, wyznaczyła mu ze swego skarbu coroczną pensyę, mówiąc:

— Są zwycięstwa odniesione nie na polu bitwy i bohaterowie, których ręce nie są zbryzgane krwią zabitych, ale zroszone łzami szczęścia zbawionych. Uważam O. Teobalda za takiego bohatera i cieszę się, że mogę mu to wyrazić.

Praca nad siłę podkopała siły. W 1848 roku Ojciec Metieu został tknięty paraliżem.

— Byłem kiedyś najsilniejszym człowiekiem w Irlandyi, a teraz nie mogę ruszyć ani ręką, ani nogą z prawej strony — mówił O. Teobald do swego doktora.

Silny jednak organizm i siła ducha pokonały chorobę i po kilku miesiącach O. Teobald wstał z łóżka. Wybierać się zaczął zaraz do Ameryki.

— Co robicie, ojcze? Dokąd jechać chcecie? Ta podróż do grobu was wpędzi. Napracowaliście się. Pora odpocząć — mówiono mu.

— Nie mogę — odpowiedział O. Metieu. — Mam pilną robotę w Ameryce, muszę tam jechać.

W Ameryce spędził O. Teobald dwa lata, odwiedził 300 miast i zjednał do związku swego 600 000 ludzi.

Po powrocie do ojczyzny dostał nowego ataku paraliżu. Doktorowie wymagali zupełnego odpoczynku.

— Nie wymagajcie — odpowiadał O. Teobald. — Nie mogę. Żołnierz, postawiony na stanowisku, nie śmie odejść, dopóki go nie zmienią. Mnie na stanowisku postawił sam Pan Bóg, nie mam prawa ustąpić, póki mnie nie odwoła.

Choroba jednak robiła swoje, siły niknęły. Ojciec Teobald zaczął często mówić o śmierci.

— Mówicie ciągle: „odpoczywaj, odpoczywaj” — żartował on. — Oto przychodzi śmierć, odpocznę wtedy.

Niezadługo przed śmiercią O. Teobalda jeden jego znajomy, wszedłszy do pokoju, zobaczył go klęczącego przed Ukrzyżowanym i modlącego się gorąco.

— Drogi mój — powiedział O. Teobald — pomódlmy się razem. Poproś razem ze mną, żeby mi Bóg przebaczył moje niedbalstwo i miłościwie przyjął do chwały swojej.

— Ojcze Teobaldzie — oburzył się znajomy przyjaciel. — Jakże ja się będę modlił? I to za was? Jeżeliście, ojcze, niegodni łaski Bożej, to któż jej godzien? Wy tyle zrobiliście dla sprawy Bożej na ziemi!

— Nie — mówił pokorny starzec. — Mnie, jak i każdemu człowiekowi potrzebną jest bratnia modlitwa. Cóż ja takiego zrobiłem? Gdybyśmy wszyscy pracowali jak należy, to czyż życie nasze byłoby tak bardzo sprzeczne z tem, czego wymaga od nas Pan Bóg! Nie, wszyscyśmy leniwi słudzy i łaski Bożej potrzebujemy. Pomódl się, drogi, za mnie.

W 1856 roku dnia 2 grudnia O. Teobald przytomnie zupełnie cicho usnął, jak gdyby zgasł. Na cmentarzu w Cork przybyła świeża mogiła. Nad nią stoi krzyż ze skromnym napisem: „Ksiądz Teobald Metieu.” Czyjeś kochające ręce zawsze ozdabiają troskliwie ten krzyż, a na grobie kwitną zawsze świeże kwiaty, one jakby mówią, że praca wielkiego apostoła trzeźwości i po jego śmierci żyje i rozkwita.

ŻARTY.

— W twoje ręce, kochany panie Bonifacy!

— Chyba że w ręce, drogi przyjacielu, bo w gardło już się nie zmieści.

W SĄDZIE GMINNYM.

— Więc z jakiej przyczyny, Janie, pobiliście tak fatalnie Bartłomieja?

— Przyczyny nie było nijakiej jeno tak po somsiedzku.

